

Matki Polki na wygnaniu

AUTOR: ŁUKASZ RUDZIŃSKI

Wzorcowy obraz polskiej emigracji blisko pięćdziesiąt lat temu odmalował w swoich *Emigrantach* Sławomir Mrożek. *Emigrantki* Radosława Paczochy, wyreżyserowane w Teatrze Wybrzeże przez Elżbietę Deptę, jawią się w dużej mierze jako rewers tamtego tekstu.

■ Mrożek w swoim dramacie zestawiał inteligenta opuszczającego rodzinny kraj z powodów politycznych z robotnikiem, który wyjechał z Polski w celach zarobkowych. Ten pierwszy (AA) żyje z drugim (XX) pod jednym dachem jak pies z kotem w ciasnej suterenie, w zawieszeniu między porzuconym życiem w Polsce a ułudą lepszej, bliżej nieokreślonej przyszłości. Obaj trwają, obaj są nieszczęśliwi, na skraju samobójstwa. Radosław Paczocha – autor *Emigrantek* nakreślił bliźniaczą sytuację do tej opisanej przez Mrożka. W jego wersji bohaterów pokroju AA zastąpili (czy też „zastąpiły” w ujęciu autora) tylko XX. Poznajemy dwie XX, czyli Zosię i Tereskę, które wyjechały z Polski, by uciec przed swoimi demonami – biedą i przemocą. Aktualizacja tekstu nie jest jednak pełna, bo oddaje stan z pierwszych lat po otwarciu granic po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Wtedy w ciągu dwóch lat za granicę wyjechało około miliona naszych rodaków.

Logika tekstu wskazuje jednak, że obie bohaterki na emigrację trafiły wcześniej. Sztuka Paczochy powstała blisko dekadę temu. Jego bohaterki tkwią na emigracji przez odpowiednio trzynaście i dwadzieścia lat, i nawet jeśli w tekście uwzględniono kilka powierzchownych uwspółcześnień (coś było modne „trzydzieści lat temu, w komunie”), opis zachowań bohaterki (na przykład puszczanie sygnałów telefonem) odpowiada tym sprzed dekady. Założyć można, że bohaterki wyjechały z Polski raczej w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Poznajemy je w momencie pojawienia się tej

trzeciej – młodej dziewczyny z Polski. Monika jest przedstawicielką kolejnego pokolenia, bacznie obserwuje Zosię i Tereskę, ujawnia też skłonności reporterskie. Prowokuje obie starsze emigrantki do zwierzeń, jest ciekawa ich sytuacji życiowej, skrywanych tajemnic, motywacji.

Wprowadzenie „kogoś z zewnątrz” umożliwia wgląd w sytuację emigracyjną od środka. Monika, tak jak starsze koleżanki, podejmuje pracę u bogatych Belgów, sprzątając ich mieszkania i czyszcząc im toalety. Stara się też respektować panujące wśród współtowarzyszek zasady, przede wszystkim chorobliwe wręcz oszczędzanie każdego eurocenta. Nie decyduje się jednak – tak jak one – kąpać u klientów, u których sprząta, by dodatkowo zaoszczędzić na wodzie. Podziwia determinację kobiet, mocno akcentując swoje zdanie na temat ich życiowych decyzji. Tu dochodzimy do drugiego, ważniejszego tematu dramatu Paczochy – macierzyństwa. Zosię i Tereskę los postawił przed tragicznym wyborem. Pierwsza wyjeżdżając z Polski, pozostawiła pod opieką rodziny piątkę dzieci, w tym karmioną jeszcze własnym mlekiem dziesięciomiesięczną córeczkę. Osierociła je, by zapewnić im byt. Druga, maltretowana przez męża, uciekła z kraju z pomocą własnych, niepełnoletnich dzieci. Dla obu wysyłanie wypłaty do Polski staje się kompulsywną wręcz potrzebą okazywania uczuć, wyrazem matczynej miłości. Temu Monika przygląda się ze szczególną uwagą, bowiem

jej zainteresowania mają pobudki osobiste – jest eurosierotą porzuconą przez matkę, jak dzieci Zosi czy Tereski. Właśnie matkowanie na odległość, czyli funkcjonowanie jako – jak to górnolotnie określa polski ksiądz z lokalnej parafii – „matki Polki na wygnaniu”, stanowi *clou* tej smutnej opowieści.

Doświadczenie rozbicia rodzin i emigracji zarobkowej kobiet zaprezentowane jest w tekście Paczochy i w spektaklu Teatru Wybrzeże w bardzo ciemnych barwach. To nieustający lament, spowiedź kobiet cierpiących, nieszczęśliwych, emocjonalnie sparaliżowanych. Wybór, jakiego dokonały bohaterki *Emigrantek*, nieustannie jest kwestionowany przez nie same i ich otoczenie. Kobiety przedstawione zostały jako heroiczne siłaczki, które zrezygnowały z własnych ambicji, często wyrzekając się własnego życia w imię miłości do dzieci, którą okazują regularnie przesyłanymi im pieniędzmi. Przypominają więźniarki, które same skazały się na izolację. Ich potrzeba zarabiania przypomina uzależnienie – wizja powrotu do życia i rodziny przeraża je, bo w ich mniemaniu jedyną wartością wybrakowanej, bo nieobecnej matki są pieniądze, którymi się dzieli z najbliższymi. Krótkie pobyty z rodziną wzmagają tylko żal i tęsknotę.

Reżyserka Elżbieta Depta postawiła na słowo. W Starej Aptece Teatru Wybrzeża trzy bohaterki konfrontują się z turbulentną historią, przede wszystkim o niej opowiadając. Można podążać za tą przerysowaną, skompresowaną do pasma nieszczęść historią wielu emigracyj-

TEATR WYBRZEŻE
W GDAŃSKU

Emigrantki
Radosława Paczochy

reżyseria
Elżbieta Depta
scenografia
Agata Andrusyszyn-
-Chwastek
światła
Magdalena Gajewska
muzyka
Maciej Szymborski

premiera
20 lutego 2021

Od lewej:
Małgorzata Brajner
(Zosia),
Justyna Bartoszewicz
(Monika),
Katarzyna Figura
(Teresa)



fot. Bartosz Bańka / Teatr Wybrzeże

nych matek, jednak brakuje w niej półcieni. Wszystko jest szare lub czarne, a przez to coraz mniej wiarygodne. Przejmujący obraz kobiet wykorzenionych, niezasymilowanych w środowisku, w którym żyją, traktowanych jako tania siła robocza, a nierzadko też wykorzystywanych seksualnie, nieuchronnie skłania do refleksji nad istotą tego współczesnego niewolnictwa. Nie ma tu figury stręczyciela, kogoś, kto ubezwłasnowolnia kobiety, zabiera im paszporty. Same dobrowolnie decydują się na pasmo nieszczęść, brną w coraz głębszą izolację. Bojąc się odrzucenia przez rodziny, pragną za wszelką cenę zaspokoić ich potrzeby finansowe. Trudno nie odnieść wrażenia, że ten model funkcjonowania (choćby poprzez obecną łatwość podróżowania i rozwój technologii) zdążył się już przynajmniej częściowo zdezaktualizować, a jednowymiarowy obraz emigracji, sprowadzony do szeregu kolejnych traum, boleśnie spłaszcza całe zagadnienie.

Reżyserka nie znalazła pomysłu, by słowom – także wtedy, gdy w tekście Paczochy prowadzą na niebezpieczne mielizny – przeciwstawić gest lub teatralny symbol. Uczestniczymy właściwie w sesji terapeutycznej, w której młoda dziewczyna z pokaleczonych emocjonalnie, doświadczonych przez życie koleżanek wydobywa ich ból i rozpacz, wraz z całym towarzyszącym temu bagażem skrywanych lęków. Każda z kobiet przechodzi

przy tym z miejsca w miejsce, jest mniej lub bardziej kompletnie ubrana, czasem zatańczy. I tyle.

Scenografka Agata Andrusyszyn-Chwastek stwarza działającą na wyobraźnię umowną przestrzeń piwnicy zaadaptowanej na potrzeby mieszkalne, w której elementem dominującym są rury. Przez nie dochodzą nas strzępy rozmów, czasem śmiech dzieci – trudno orzec, czy to wspomnienia bohaterki, czy prawdziwe życie, które dzieje się w tym samym budynku na wyższych kondygnacjach. Porządek wertykalny w scenografii jest jasno określony – bohaterki *Emigrantek* są jak szczury z piwnicy, na samym dole drabiny społecznej. Prawdziwe życie dzieje się gdzieś indziej. Integralnym elementem spektaklu jest muzyka Macieja Szymborskiego, również wydobywająca się jak zza ściany – z ułożonych przez całą szerokość sceny i długość widowni rur. To muzyka bogata brzmieniowo, czasem oparta na wydobytych z szumu informacyjnego hasłach, jak „miłość” lub „dzieci”.

Trzy wykonawczynie nie mają łatwego zadania, bo półtoragodzinne przedstawienie w całości bazuje na aktorskim warsztacie. Najciekawszą postać stworzyła Małgorzata Brajner, której Zosia to pocieszna, wrażliwa prosta kobieta, znajdująca ukojenie w religii. Ubrana kompletnie bez gustu (w to, co dostanie z kościelnych darów) ma powierzchowność osoby bezdomnej – jej niewypakowana

od trzynastu lat walizka dużo mówi o stylu i bylejakości jej życia. W życiowej zamrażalce tkwi również Tereska grana przez Katarzynę Figurę. Ta bardzo charakterystyczna aktorka kreuje swoją bohaterkę na kobietę wyzwoloną, wulgarną w sposobie bycia i mówienia. Wydaje się, że zapomniała o strachu stale towarzyszącym jej w Polsce, ale przeczuwamy, że to pozory. Mamy wiele okazji, by Teresce współczuć, jednak emocje serwowane przez Figurę są powierzchowne, mało przekonujące. Trudno w nie uwierzyć. Monika Justyny Bartoszewicz z założenia stoi z boku, jest wycofana, pełni rolę moderatora dyskusji i arbitra postaw koleżanek. Aktorce brakuje przestrzeni, by zmanifestować swoje „ja” – dostaje na to tylko jeden moment, gdy wykonuje efektowny striptiz.

Elżbieta Depta czyta całą opowieść przez emocje, które podaje w przestylizowanej momentami, serialowej wręcz oprawie. Nie przemawia do mnie zachowawcza reżyseria, sprowadzająca się do poprawnego przeprowadzania kolejnych tematów. *Emigrantkom* mocno doskwiera brak teatralności i dystansu, które byłyby przeciwwagą dla przemycanego tu i ówdzie patosu. Całość ma wręcz operową puentę dzięki *Lacrimosie* wybrzmiewającej w finale na tle gasnących świateł. Dobrze, że los rozbitych przez emigrację rodzin stał się tematem spektaklu, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że został po prostu zagadany. ■